

WIECZORY RODZINNE



DOBRA SIOSTRZYCZKA.

— Józiu! — pobaw braciszka, bo muszę uprasować wam sukienki — mówiła niania Stasia do dziewczynki, bawiącej się lalkami.

— Nie mam czasu — odparła Józia niecierpliwie — niech Jakubowa sama go bawi.

Niania nie odrzekła panience, tylko przyniosła z kuchni kosz od bielizny i, ułożywszy w nim Stasia, zabrała się do prasowania.

Ale malec nie był zadowolony z nowego mieszkania; nudno mu było: nikt doń nie przemawiał, nikt go nie bawił, to też cicho najpierw, potem coraz głośniejszemu popłakiwał, wreszcie rozkrzyczał się na dobre.

— Cóż to za nieznośne dziecko, ciągle je baw i baw! — zawołała Jakubowa, biorąc małego na ręce.

Żal się zrobiło Józi braciszka, gdy usłyszała to narzekanie, to też, porzuciwszy swe lalki, zbliżyła się do Jakubowej i poczęła ją namawiać na powtórne usadowienie Stasia w koszu, obiecując go zabawić.

Znalazł się więc malec w nim znowu, ale teraz ani myślał o płaczu, bo też Józia tak słicznie go bawiła: to wozila go po pokoju, to zabawiała kółkiem, to klaskała w dłonie, a śmiał się serdecznie i wyciągał do niej rączki.

Prędko czas schodził Józi na tej zabawie, tak prędko, że zdziwioną była, gdy niania, po skończeniu prasowania, przyszła zabrać Stasia, dziękując panience za popilnowanie braciszka.

K. Ślosarska.

Dym i Płomień.

— Powiedz mi drogi ojcze! — rzekł dym do płomienia, Dlaczego obok ciebie wlokę byt tak marny, I choć jednego z tobą jestem pochodzenia, Ty błyszczysz, a ja zawsze pozostaję czarny? — Na to odrzekł płomień: odpowiedź niedługa, A skorzystać z niej może i ród ludzki cały: Nie wystarcza dla dzieci rodziców zasługa, Lecz własną pracą dążyć powinny do chwały.

KRÓLESTWO ZŁOCIEŃCÓW.

(Dalszy ciąg).

Następnie wyjął z kieszeni jedwabną chustkę, położył ją na dnie łódki, i wnet chusteczka zmieniła się w żółty, jedwabny, miękki dywan. Złocik urwał duży skrzyp, scyzorykiem obciął rosnące u góry wąsy i, stanawszy u steru z tem, nowego rodzaju wiosłem, zdjął uprzejmie aksamitną czapeczkę, prosząc Śniegulinkę i Promyczka, aby zechcieli zająć miejsce.

Dzieci przyjęły chętnie zaproszenie, Złocik zaczął wiosłować szybko, i łódka popłynęła po fali szlakiem wysrebrzanym promieniami księżyca.

— Mój Złociku — rzekł Promyczek — powiedz nam, skąd się wziąłeś w tej właśnie chwili, kiedy nam byłeś najpotrzebniejszy i jakim sposobem zdołałeś ujść oka wiedźmy, która nas ciągle pilnowała?

— Ach, ta wiedźma — odpowiedział Złocik — jest to potężna i złośliwa czarownica. Trzeba wam wiedzieć, że istniała oddawna nieprzyjaźń między nią a królestwem złocieńców czyli żółtoludków. W tym królestwie panował dobry i mądry król Złotobrody z żoną królową Złоторzszą. Mieli dwoje ślicznych dzieci i byli bardzo szczęśliwi. Aż król pewnego razu pokrzyżował złośliwe jakieś zamiary wiedźmy i tem ściągnął na siebie jej zemstę. W czasie jego nieobecności wtargnęła do królewskiego pałacu podstępem i opanowała talizman, mający czarodziejską władzę, to jest złotą koronę Złocieńców, którą się od wieków królowie koronowali, i która nadawała im moc większą jeszcze od jej potęgi. Królowa zdołała uciec z dziećmi, ale gdy przepływała rzekę, zdradziecki przewoźnik wywrócił łódź na głębinie, i wszyscy troje utonęli. Rozbroiwszy w ten sposób Złocieńców, czarownica zamieniła ich w żółte majówki, a państwo ich w jezioro. Dobry nasz król zdołał przy pomocy wiernego swego sługi ujść jej zasadzek, zamienił swój pałac w muszlę i w nim żyje ukryty. Pałac ten będzie dla nas bezpiecznem schronieniem, bo wiedźma-wrona nie ma doń przystępu i nie wie o jego istnieniu. Sługa króla — Święto-

jańczyk stoi co noc z latarnią na brzegu muszli i oświeca drogę w nadziei, że jakie złocenie, wyrwawszy się z niewoli, trafić tam zechcą.

— A ty sam, Złociku, czy nie byłeś zaczarowany?

— Owszem — odparł Złocik — i długo już kwitłem na brzegu jeziora. Urwałem mnie z innymi kwiatkami wczoraj, Promyczku, i przypadkiem zaczępiłem się o twoje ubranie. Czarownica musiała w chatce ukryć jakiś talizman, który mi dawną postać przywrócił.

Płynęli dawniej w milczeniu, aż wreszcie zobaczyli migające światelko.

— To Świętojańczyk z latarką — rzekł Złocik i podpłynął.

— Kto tam płynie zieloną łódką? — ozwał się głos jakiś.

— Poddani króla Złocienców, zbiegłszy od prześladowania, o gościnność proszą — odpowiedział Złocik.

Na te słowa Świętojańczyk zawołał radośnie:

— Miłą wieść przynosicie i upragnionymi gośćmi jesteście. Wchodźcie coprędzej, czeka was bezpieczne schronienie.

Przy srebrnem świetle gwiazd i migotliwych błyskach latarki, Złocik dobił swą zieloną łódkę do olbrzymiej morskiej muszli, która zdumionym oczom dzieci zarysowała się na ciemnym brzegu rzeki. Fale obijały się o nią i zostawiały na jej wrębach pianę; na jednym z tych wrębów czekał Świętojańczyk. Gdy wszyscy troje wysiedli z zielonej łódky i znaleźli się na brzegu muszli, stary sługa skłonił się głęboko i zaczął ich wprowadzać prześlicznymi galeryami z muszlanej masy, przez portyki i sale z perłowej konchy w głąb zaczarowanego pałacu, który się coraz bogatszym i piękniejszym stawał. Nareszcie Świętojańczyk stanął przed ciężkimi, złocistymi drzwiami, otworzył je, i dzieci zobaczyły wielką, wspaniałą salę. Obicie w niej było ze złotogłowiu, zielone, miękkie, dywany zaścielewały posadzkę, od sufitu spuszczały się żyrandole z bukietów majówek, w których zamiast pręcików paliły się świece. Na ścianach w bogatych ramach wisiały portrety królów Złocienców w monarszych szatach; kosztowne sprzęty poroźstawiane były z wytwornym smakiem, a w głębi na złotym tronie, gęsto wysadzonym szmaragdami, siedział siwy król złocistobrody. Odziany był w zieloną jedwabną szatę i żółty aksamitny płaszcz królewski, na głowie miał koronę ze złotych majówek, a w ręku zielone berło. Świętojańczyk, skłoniwszy się z głębokim uszanowaniem, przedstawił mu nowoprzybyłych.

Król przyjął ich z nadzwyczajną łaskawością i ucieszył się widząc Złocika, który był niegdyś jego paziem. Dzieci zrazu onieśmiałe się czuły w tem królewskim mieszkaniu, ale tyle było dobroci i łagodności w obliczu króla, że się wkrótce ośmieliły i odpowiadały na jego pytania, patrząc nań z miłością i uszanowaniem.

Po spożyciu wytwornej uczyty, dzieci zaczęły się przyglądać bogatym sprzętom z perłowej masy, meblom, krytym żółtym pluszem, puszystym kobiercom i innym osobliwościom, gdy wtem zdało się Promyczkowi, że Śniegulinka, która zrazu z zachwytem patrzyła na rzecz każdą, jest jakaś blada jakby cierpiąca i widocznie ledwo zwraca uwagę na to, co się wkoło niej dzieje.

— Co tobie Śniegulinko? — zapytał.

— Ach — odpowiedziała Śniegulinka — zaczynam czuć silny ból głowy, siateczka, którą mam na włosach, sprawia mi niezmiernie cierpienie.

— To ją zdej — rzekł Promyczek i chciał jej pomódz, ale mimo wszystkich usiłowań, ani jednej szpilki wydobyć nie mógł.

Tymczasem ból Śniegulinki wzrastał, szpilki stawały się coraz gorętsze i parzyły jej główkę. Przerażony i zmartwiony Promyczek wezwał Złocika na pomoc.

— Złociku drogi, prędzej chodź, prędzej.

— Otóż jestem — rzekł Złotoludek, nadbiegając — czego żądasz, Promyczku?

Promyczek opowiedział mu swoje zmartwienie.

— Czy cię Wiedźma-wrona sama chesała? — zapytał Złocik.

— Tak — odpowiedziała dziewczynka — i miała do tego srebrny grzebień, który starannie chowała.

— Szpilki są zaczarowane, i bez tego srebrnego grzebienia siatki odpiąć nie można.

Promyczek odciągnął Złocika na stronę i zapytał:

— Co się stanie, jeśli się siatki nie zdejmie?

— Śniegulinka umrze — odparł smutno Złocik — szpilki rozpalą się do czerwoności.

— Ach, cóż za nieszczęście! — wykrzyknął Promyczek, ale po chwili dodał: — Kiedy tak, więc koniecznie trzeba ten grzebień dostać.

Złocik pokiwał głową.

Zapominasz, że jest on u Wiedźmo-wrony, a wierz mi, że z nią nie taka łatwa sprawa. Możesz się narazić na wielkie niebezpieczeństwo i nic nie uzyskać.

— Posłuchaj — rzekł Promyczek — chcę pójść, i żadne niebezpieczeństwo mnie nie wstrzyma, ale czy Śniegulinka doczeka mego powrotu? Wszak wiele czasu może upłynąć, zanim on nastąpi.

— Na to jest sposób — odrzekł Złocik — mogę ją uspić, i będzie leżała jak martwa, póki srebrnym grzebieniem nie dotkniesz jej splotów.

— Zróbże to zaraz, niech dłużej nie cierpi, ja dziś jeszcze puszczam się w drogę.

Złocik zbliżył się do jednej fontanny, zaczerpnął muszlą wody, otrząsnął pył z jednego kwiatka, który kwitł w perłowej doniczce i, stanawszy za dziewczynką, bryznął na nią. Wnet Śniegulinka osunęła się na złotą otomanę, oczy jej się zamknęły, usta rozchyliły uśmiechem, a ręka, trzymająca rozkwitającą majówkę, opadła jej wdzięcznie na piersi. Promyczek ucałował ją serdecznie, uściśkał Złocika i poszedł pożegnać króla. Złocistobrody zasmucił się bardzo.

— Zaledwie was poznałem, przywiązałem się do was i zaraz muszę was utracić. Niestety, nie mogę ci odradzać, zalecam ci tylko przezorność i wytrwałość.

Promyczek ucałował rękę królewską ze wzruszeniem i wyszedł. Złocik odprowadził go aż na brzeg; zielony bacik kołysał się jeszcze na małej przystani, którą tworzyły wręby muszli.

— Bywaj zdrow, Promyczku — rzekł Złocik, żegnając go raz jeszcze, nie towarzyszę ci, bo moja pomoc nie na wiele by się przydała, tu zaś będę stróżem śpiącej Śniegulinki, a jeśli ci los poszczęści powrócisz...

— Powrócę z pewnością — zawołał Promyczek, wskoczył w łódkę, odbił od brzegu i, powiewając kapeluszem w stronę zakłętogo pałacu, popłynął z biegiem fali. Księżyc już blednąć zaczynał.

IV.

Tratwa z kory.

Woda niosła Promyczka szybko, tak szybko, że wkrótce stracił czarodziejską muszlę z oczu i znalazł się w okolicy zupełnie nieznaney. Brzeg był tu znacznie niższy i bagnisty, przytem sitowia i trzciny rosły w wielkiej ilości i tamowały bieg łódki. Wreszcie w jednym miejscu zatrzymała się uplątana w rzeczne trawy, i Promyczek daremnie usiłował wprawić ją znowu w ruch. Gdy się tak mozolił, uszu jego doszedł plusk wiosła; stanął, nasłuchując.

Trzciny rozchyliły się raptem, i wysunęła się z pośród nich mała tratwa, zrobiona z kory dębowej. W środku wznosiła się budka z żółędzi, na czterech rogach stali wiosłarze. Były to wielkie czarne ropuchy, ubrane w koszule i majtki z liści, w pyszczku mieli fajki, zrobione z muszelek żółędnych; wiosłowali dosyć niedbale, puszcza-
jąc kłęby dymu.

Na tratwie przechadzała się duża żaba drzewna w lśniącym, jasno-zielonym mundurze z kapeluszem na głowie. Tratwa przypląnęła bliżej, i wiosłarze wstrzymali się, gdyż łódka zagradzała drogę.

— Czegoście stanęli? — zawołał chodzący, i spostrzegłszy bacik Promyczka, zwrócił się ku niemu:

— Gdzie waszmość płyniesz, czy nie łaska usunąć się na stronę.

— Usunąłbym się chętnie — odpowiedział grzecznie Promyczek — ale łódki wypłatać nie mogę.

Zielony panek zwrócił się do swoich wiosłarzy z jakimś rozkazem, wnet z mruklivem rechotaniem, dwie ropuchy wskoczyły w wodę i z pospiechem, choć niezbyt zręcznie, jęły wypłatywać łódkę z sitowia. Zielony panek przypatrzył się uważnie ładnemu bacikowi, wykwintej powierzchowności Promyczka i w odpowiedzi na jego podziękowania, rzekł uprzejmie:

— Jeśli waszmości nie spieszo, to proszę do mnie na tratwę, możemy zawrzeć bliższą znajomość.

Promyczek, który nie miał pojęcia, w jakiej się stro-
nie lasu znajduje, spodziewając się otrzymać jakieś wska-
zówki, przyjął chętnie zaproszenie.

— Droga jest bardzo nudna — rzekł, witając go zie-
lony panek — i przyjemniej odbywać ją w towarzystwie. Czy wolno zapytać, dokąd płynąłeś?

Promyczek opowiedział mu swoją historję, której tamten wysłuchał z wielkiem zajęciem.

— Ha! — rzekł — więc to z Wiedźmo-wroną sprawa, tę znają i nasze strony. Mamy rzeczpospolitą ziemnowo-
dną, i nieźle nam się powodzi, ja jestem syn prezydenta i nazywam się Pięknotek. Czy nie zauważyłeś panie Promyczku, że i między żabami bywają bardzo ładne?

(d. c. n.)

Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich.

przełożyła M. B.

(Dokończenie).

— Ach! Iwonku, to zapewne ojciec pana Andeo uratował życie naszemu ojcu, kiedy nas jeszcze nie było na świecie!

I Melcia ze łzami w oczach opowiedziała historję ocalenia jej ojca przez oficera de Kerdrenc, którą wszyscy byli wzruszeni, podziwiając wyroki Opatrzności, że za pośrednictwem dzieci ocalonego wynagrodziła synowi piękny czyn ojca.

— Melciu — dodał na zakończenie Iwonek — ja zo-
stanę marynarzem i będę ratował wszystkich, co wpadną do wody. Muszę tylko nauczyć się dobrze pływać...

A mówił to z taką dumą, jak gdyby już uratował całą załogę okrętu!

Nazajutrz pan Dumany wyjechał do Paryża, wioząc z sobą drogie kamienie. Towarzyszyli mu dla bezpie-
czeństwa Jo i Piotr. Dzieci tymczasem rozpoczęły na nowo przerwane lekcye.

W tydzień potem wrócił pan Dumany rozpromienio-
ny, że znowu jest u siebie, wśród kochających go osób; dnia tego przygotowano wyborny obiad, stół Melcia ubra-
ła kwiatami. Iwonek siadywał także już przy głównym stole, co mu wielką sprawiało przyjemność.

— No, moi państwo! — rzekł pan Dumany po skoń-
czonym obiedzie — jesteście teraz bogaci, klejnoty sprze-
dałem za dwa miliony franków, za które kupiłem procen-
towe papiery; połowę ich złożyłem na imię Andea, a dru-
gą na imię Melci i Iwonka. Dowiedziałem się także, że ciotka wasza mieszka obecnie w Hawrze, jest żoną pieka-
rza i ma czworo dzieci. Powodzi się jej nieźle, może te-
raz zamieszkacie przy niej?

— O nie — zawołała Melcia — teraz, gdy się nie obawiam, że jesteście ciężarem dla naszego ukochanego opiekuna, pozostaniemy tu tak długo, dopóki będzie chciał mieć nas przy sobie, a ciotce, jeżeli pan pozwoli, chciałabym przesłać jakąś sumę dla jej dzieci.

— A ty, Andeo, czy myślisz powrócić do Paryża?

— Nie, kochany panie, pragnąłbym pozostać u cie-
bie i przygotować Iwonka i Franusia do szkoły morskiej wojskowej.

Tak więc wszyscy pozostali w Landes.

Pięć lat upłynęło od opowiedzianych wydarzeń, w Landes nic się prawie nie zmieniło. Nad brzegiem stawu na ulubionej ławeczce, siedzi pan Dumany i uśmie-
cha się do młodej panienki, zdążającej ku niemu.

— Czekam cię, Melciu, od godziny, siadaj moje dziecko, muszę się jeszcze nacieszyć moją córeczką. Lata płyną, a ja ani spostrzegłem, jak z dziecka wyrosłaś na słuszną pannę i trudno mi jest oswoić się z myślą, że dzień twego ślubu niedaleki. — Tak mówił pan Dumany do młodej narzeczonej pana Andeo.

Niktby nie poznał dzisiaj małej, ogorzałej rybaczki w tej miłej, wysmukłej panience, oczy tylko pozostały te same, pełne słodyczy i dobroci.

Melcia usiadła obok pana Dumany, mówili długo o Iwon-

ku, który uczył się doskonale i za dwa lata miał już wstąpić do szkoły morskiej, o Franciszku przebywającym obecnie w Algerze, skąd, jako oficer w czynnej służbie, na ślub Melci przybyć nie mógł. Z kolei mówiono o rodzinie wachmistrza, którą przez te lata odwiedzono kilkakrotnie; pan Dumany zaprosił ich na wesele Melei, by im okazać, że prawdziwa wdzięczność niema końca.

Wreszcie rozmowa zesła na pana Andeo. Melcia, opowiadała, jak bardzo jest szczęśliwą, jak, dzieckiem jeszcze będąc, lubiła swego nauczyciela i jak niepostrzeżenie przywiązanie dziecinne, zmieniło się w głębsze i poważniejsze uczucie.

Młoda para miała zamieszkać w Landes, by nie osamotnić pana Dumany na stare lata. Iwonek z radością zawsze oczekiwał wakacji, kochał on bardzo swego opiekuna i przyszłego szwagra, lecz Melcia pozostała zawsze jego najukochańszą siostrzyczką, którą miłował jak matkę.

A Jo, zapytacie? Płakał z radości za każdym powrotem Iwonka do domu, a gdy ten wyjechał, codzień oczekiwał listu od „ukochanego chłopczyka”, jak zwykł nazywać swego ulubieńca.

Tak więc szczęście zamieszkało w Landes, jako nagroda dla tych zacnych serc, żyjących miłością, pracą i wdzięcznością.

— <E> —

SZARADA

Pierwsze z drugim to miasto, które u wybrzeży Morza Białego, w Rosyi zimnej stronie, leży.
Pierwsze z trzecim dziś tylko do krótkich podróży Zamożnym ludziom w drodze do przejazdu służy.
Wszystko zaś, co wiedzą nawet i wieśniacy,
Jak powiada przysłowie, nie będzie bez pracy.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułożyła Malinka z Meranu.

Z następujących sylab: Wę—i—e—chra—za—o—ro—yon—gier—son—dward—bąszcz—le—ce—dan—ne—zo—ski—an—ułożyć wyrazy, którychby początkowe i końcowe litery złożyły nazwę pisma polskiego ilustrowanego. Znaczenie wyrazów: 1) Mieszkaniec kraju należącego do Austrii. 2) Rzeka wpad. do Adryatyku. 3) Imię męskie. 4) Owad z rzędu tęgopokrywych. 5) Poeta z bieżącego wieku. 6) Przestrzeń wody. 7) Rzeka w Szwajcaryi i Francyi. 8) Dopływ Sekwany.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 43-go:

Zagadki: Kos, koń, kot.

Łamigłówni rzymskiej:

L a t o r o ś L
I z a l I
Z e Z
B
O k O
N a t a N
A r m e n i A

Skrzynka do listów.

Sz. ks. proboszczowi w Kom.... Jesteśmy przejęci serdeczną wdzięcznością dla Sz. ks. proboszcza za tak zaszczytne i pochlebne zdanie o naszym piśmie. Cieszymy się też niewymownie, że dzięki Jego dobroci biedne dzieci rzemieślników miejscowych korzystać mogą z Wieczorów, i że głośne tychże czytanie stanowi dla nich taką przyjemność. Książki żądane i kalendarze wysłamy wraz z zeszłorocznym rocznikiem Wieczorów.

Czy serce powinno kierować rozumem, czy rozum sercem? Takie pytanie otrzymaliśmy od 13-to letniego *Podróżnika* afrykańskiego w liście, opatrzonym dalekim stemplem południowej krainy. Odpowiedź trudna i długą być powinna, a my się nie możemy rozpisywać zbyt obszernie. W kilku więc słowach powiemy tylko, że rozum z sercem powinny iść w parze. Bo gdy samym rozumem kierować się będziemy, życie nasze będzie suche i bezbarwne, radości jego odczuć nie zdołamy, miłości i przyjaźni ludzkiej zaskarbić nie potrafimy. Gdy się zaś słucha *tylko* podszeptów serca, często zdarza się że intencje i zamiary najlepsze w niecz się obróćą, bo serce to piękny kwiat potrzebujący silnej podpory rozumu, a rozum rzecz martwa, a i sucha bez serca. Serce go opromienia, ożywia, rozum daje siłę, a serce piękność ducha. Tak więc radzimy serdecznie naszemu *Podróżnikowi*, by w dalszym życiu kierował się zasadą: że rozum i serce nie kierować sobą, lecz wzajem dopełniać się powinny.

Niumi R. za liścik tak pięknie napisany dziękujemy bardzo! postaramy się, by i w roku przyszłym zadowolnić naszych kochanych czytelników równie ciekawymi powiastkami. Zagubione numera dodatków już wysłaliśmy.

Szarady *Józia B.* o ile tylko okażą się odpowiednie będą drukowane, a rozwiązanie łamigłówni *Motyła* jest bardzo dobre.

Co ty tam myślisz o mnie Różowa Lewkonio? Pewno się gniewasz trochę, że cię pozostawiła tak długo bez odpowiedzi; nie moja w tem jednakże wina, bo list twój zawinięty w robótkę, przeleżał sobie cały ten czas spokojnie i dopiero przy sądzeniu robót został odnaleziony. A twoje listy bardzo miło odbierać, bo i treść ciekawa, i pismo bardzo ładne. Opis spędzania wakacji bardzo mnie zajął, nie dziwnego, że bawiąc się tak dobrze, czas szybko mijał. Żałuję bardzo, że nie mogę ci się odwzajemnić równie szczegółowym opisem moich wakacji, ale brak i zawsze brak miejsca stoi różnym dobrym zamiarom na przeszkodzie.

Kwiat granatu spóźnił się niestety z przystaniem roboty, nadeszła już po rozdaniu nagród, nie pomogło moje wstawiennictwo, któremu się poleciłaś! Mam nadzieję, że na rok przyszły nie opóźnisz się z przesyłką i nie minie cię nagroda.

Nie omyliłeś się Baciku, pisząc, że jesteś najmłodszym z moich korespondentów, będziesz więc Benjaminkiem w tem miłym gronie. Jak na pięcioletniego chłopczyka list twój bardzo ładnie napisany. Siostrzyczkę twoją znam dobrze, pisujemy do siebie od lat kilku, a że o tobie wspominała często, nie jesteś więc już obcym:

Jaskółce.